



Bajka dla nauczycieli

Pewnego razu zwierzęta postanowiły zrobić coś dla rozwiązania problemów współczesnego świata. Podjęły decyzję o pilnej potrzebie założenia Nowej Szkoły. Powołano Komitet Szkolny, złożony z niedźwiedzia, sarny i bobra. Dyrektorem mianowano jeża.

W programie szkolnym umieszczono następujące przedmioty: bieganie, wspinanie się, latanie i pływanie. W celu lepszej organizacji nauczania postanowiono, że wszystkie zwierzęta będą uczyły się wszystkich przedmiotów w taki sam sposób.

Kaczka osiągnęła najlepsze wyniki w pływaniu okazała się lepsza nawet od nauczyciela. Niestety, z latania otrzymała tylko 3+, a z bieganiem zupełnie nie dawała sobie rady. Z tego powodu została skierowana na dodatkowe zajęcia wyrównawcze. Podczas gdy inni trenowali pływanie, kaczka uczyła się biegać. Po pewnym czasie jej powykrzywiane nóżki były tak zmęczone, że osiągała tylko przeciętne wyniki w pływaniu.

Wiewiórka otrzymała celująco ze wspinania się, ale bardzo frustrowały ją lekcje latania, ponieważ nauczyciel wymagał startu z czubka drzewa. Długie ćwiczenia spowodowały znaczne obniżenie ocen ze wspinania się i biegania.

Orzeł był dzieckiem problemowym, często strofowanym. Na lekcjach wspinania potrafił znaleźć się na szczycie drzewa szybciej niż inni uczniowie, tyle że chciał robić to na własny sposób.

Królik rozpoczął zajęcia z biegania jako najlepszy w klasie, ale dodatkowe lekcje pływania były powodem jego załamania nerwowego. Został skierowany do szkoły specjalnej na obserwację psychologiczną. W tej szkole jedynym przedmiotem było pływanie.

W końcu roku szkolnego nienormalny łosoś okazał się najlepszy w pływaniu, a także w bieganiu, wspinaniu się i lataniu. W nagrodę poproszono go o wygłoszenie mowy na zakończenie roku szkolnego.

Piesek preriowy trzymał się z daleka od szkoły, ponieważ Komitet Szkolny nie zaakceptował kopania jako przedmiotu. Zaprzyjaźnił się z borsukiem i został jego pomocnikiem. Później dogadali się z dzikami i założyli szkołę prywatną, która wkrótce okazała się sukcesem.

Szkoła, która pragnęła zająć się rozwiązywaniem problemów współczesnego świata, została zamknięta. Zwierzęta odzyskały wolność.



Pobawisz się ze mną, mamo?

Niedawno stojąc w kolejce w sklepie z zabawkami usłyszałam następującą rozmowę pomiędzy klientką i sprzedawczynią:

Klientka: Czy mogłaby mi pani polecić mi jakąś grę dla sześciolatka? Sprzedawczyni: Oczywiście (przynosi kilka pudełek), a czym się interesuje pani dziecko? Klientka: No, nie wiem.... (przegląda ofertę). Wszystkie te gry są dla kilku osób, a czy nie ma Pani czegoś, w co on mógłby pograć sam?

Zrobiło mi się smutno. Pomyślałam o małym chłopcu, który swoją osobą nie powinien absorbować uwagi dorosłych zajętych różnymi „ważnymi” sprawami. Być może właśnie czeka na urodzinowy prezent, ale nie będzie miał okazji cieszyć się nim razem z rodzicami podczas wspólnej zabawy.

W tym momencie wróciłam pamięcią do czasów, gdy moja córeczka była mała i razem lepiliśmy pierogi, robiliśmy świąteczne łańcuchy z kolorowego papieru, grałyśmy w warcaby lub puszczałyśmy bańki mydlane. Ile przy tym było śmiechu, a czasami złości, gdy coś nie wychodziło...

Zawsze byłam zapracowaną mamą, jednak wolne chwile starałam się spędzać razem z dzieckiem, a nie obok niego. Nie tylko razem bawiliśmy się, ale poświęcałyśmy również sporo czasu na zajęcia domowe. Musiałam ciągle coś wymyślać, by uatrakcyjnić to, co nie zawsze wydawało się dziecku atrakcyjne. Sprzątanie to była nasza „wyprawa poszukiwaczy skarbów”. Skarbem była każda zawieruszona rzecz, którą udawało się „cudownie” odnaleźć w ferworze robienia porządków. Porównywałyśmy, kto zdobył więcej skarbów, a jeżeli w posiadaniu jednej z nas była jakaś cenna zguba należąca do drugiej, to taki skarb trzeba było „wykupić”.

Wspólne pitraszenie też było przyjemnością. Wymyślałyśmy na przykład na kolację śmieszne kanapki: miały „duże oczy” z plasterków jajka i włosy ze szczypioru, przyklejonego serkiem topionym, albo „straszne zęby” z paseczków papryki. Podczas lepienia pierogów był zwyczaj robienia jednego pieroga „paskudka” – dodawało się do niego coś, co modyfikowało smak. Moje dziecko wykonywało taki „smakołyk” osobiście i podczas obiadu następowało radosne oczekiwanie, komu przypadnie w udziale. Do dziś wspominamy ze śmiechem, jak pewnego razu przytrafił się on naszej znajomej, którą zapomnieliśmy uprzedzić, co może ją spotkać.

Często same wymyślałyśmy gry. Rysowało się na dużej kartce ścieżkę, po której poruszały się pionki. Moja córeczka wymyślała przygody, które zaznaczałyśmy na planszy.



Brało się dwa kasztany, albo małe figurki jako pionki i zabawa była gotowa. Podczas gdy ja gotowałam zupę, Martyna myślała nad grą i tak jak potrafiła, tak ją udoskonalała. Często przybiegała do kuchni, by się ze mną konsultować w ważnych sprawach. Jeżeli czegoś nie umiała sama zrobić, pomagałam jej, gdy zupa spokojnie bulgotała w garnku i nie wymagała stałego doglądania.

Czas szybko mija. Dzisiaj moje dziecko jest już dorosłe, ale nadal mamy ze sobą dobry kontakt. Burzliwy okres dojrzewania minął bez większych zagrożeń dzięki temu, że nasza córka dzieliła się z nami – rodzicami - swoimi problemami tak, jak robiła to niegdyś, gdy się wspólnie bawiliśmy. W okresie dojrzewania buntowała się jak każda nastolatka, ale nigdy nas nie odrzuciła i nie zamknęła się przed nami, chociaż oczywiście miała swoje tajemnice.

Czas wspólnej zabawy mija tak szybko, że nawet trudno zauważyć, kiedy zamiast małego dziecka mamy obok siebie młodego, dorosłego człowieka. Sama sobie dziękuję, że nie utraciłam tego czasu, i że dzięki temu pozostało nam mnóstwo wspomnień, które łączą nas teraz z naszym dzieckiem.

Psycholog dziecięcy Małgorzata Dąbrowska